XXIV. Kraków, 15 września 1921 r. Nr. 18.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. pocz. 228 M. — f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 53 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

[illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

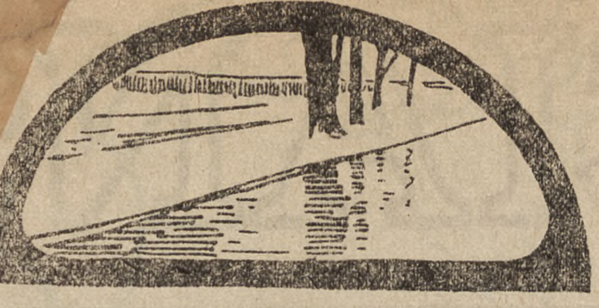
Numer pojedynczy 40 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 40 Marek.



W teatrzyku „Bagatela".

— No i co więcej pisze nam o Włochach autor „Szlakiem automobilu"?

— Ubolewa, że u nas w Polsce nie sieją makaronu!



Manifest Księcia Pana.

Najmiłościwiej nam na Lubiczu, Dajworze i Psiej Górce panujący książę Kazimierz I., filozof, poeta, mowca i recytator, prawnik i muzyk, prezes, wiceprezes i członek wydziału trzystu dziewięćdziesięciu pięciu towarzystw już istniejących i dopiero założyć się mających, szambelan kapiący i spadający (di cappa e spada), opiekun wdów i sierot, członek honorowy Bractwa dobrej śmierci i Towarzystwa Ochrony zwierząt, protektor Stróżów katolickich z domów żydowskich i t. d., ogłosił następujący manifest do swych poddanych:

My, z Bożej łaski i woli taty i mamy, książę na Lubiczu, Dajworze, Psiej Górce i t. d., wszem wobec i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy lub też nic go nie obchodzi, wiadomem czynimy, iż powodowani troską o losy dynastyi, która na Nas wygasnąć by musiała, a jako dotychczas w kawalerskim stanie żyjący i prawego potomstwa nie posiadający, chcąc tronowi Naszemu książęcemu zapewnić prawowite następstwo, zdecydowaliśmy się na krok stanowczy. Czując w sobie siłę do wzniosłych i wielkich czynów, wstąpiliśmy póki jeszcze czas w związki małżeńskie. Zawiadamiając o tem w łasce wiernych Naszych poddanych, zapewniamy ich, iż dołożymy wszelkich starań, aby tron Nasz nie stał pustką, ale prosimy równocześnie, nie o czynną pomoc, gdyż bez niej narazie się obejdziemy, lecz o połączenie modłów swych z Naszemi, aby wysiłki Nasze nie poszły na marne.

Z powodu tego radosnego zdarzenia w Naszej Książęcej Rodzinie udzielamy Naszym wiernym poddanym zupełnego odpustu.

Manifest niniejszy po przeczytaniu, należy przybić na gwoździu w miejscu dla każdego dostępnem...

Dane w sierpniu, R. P. 1921., w miejscu naszego tymczasowego postoju.

Oj ten grzebień!

Chodził kapłon po śmietnisku
I wymyślał na koguta:
„Znieść nie mogę tego krzyku,
Co za pycha! co za buta!

Czegóż on się tak nadyma?
Wszak kogutów jest tysiące —
Że on — grzebień w górę trzyma?
Ja mam zato pióra lśniące!“

Na to rzecze stara kura:
„Głupstwo pióra! Wiesz dobrodziej?
Że nam kurom nie o pióra —
O ten — grzebień się rozchodzi!“

Jego koniec.

Do wsi powrócił z Ameryki na łono kochającej rodziny jeden z gospodarzy, który w czasie kilkuletniego pobytu za Oceanem dorobił się tam znacznego majątku, przywiózł też ze sobą sporo dolarów. Tutejsze powietrze widocznie mu jednak nie służyło, gdyż po kilku miesiącach zasłabł poważnie i, pomimo bardzo troskliwej opieki i pielęgnacyi, przeniósł się do wieczności.

Strapiona wdowa, zamawiając pogrzeb u proboszcza, dopraszała się koniecznie, aby jegomość wygłosił mowę żałobną na grobem nieboszczyka, a ona już zapłaci za to, ile będzie potrzeba.

— Dobrze... — proboszcz na to — Ale cóż ja o nim powiem, skoro go prawie nie znałem? Czy on wiódł żywot chrześcijański?... Gdybym bodaj wiedział, jaki nieboszczyk miał koniec...

A wdowa na to, wzdychając głęboko i ocierając łzy z oczu, rzecze:

— Oj, proszę dobrodzieja, takiego końca, jaki miał nieboszczyk, jak długo żyję nie widziałam.





Jaki ma być urzędnik?...

W pewnej instytucyi zastanawiano się nad tem, jakiemi zaletami powinien się odznaczać urzędnik, aby godnie odpowiedział swemu zadaniu.

Po dłuższej naradzie uchwalono, iż:

1. Nie powinien mieć głowy, aby mu się nie zdawało, że jest wielkim dygnitarzem i, aby się innym nie dał za nos wodzić,

2. kark natomiast musi mieć giętki, by się mógł kłaniać przełożonym,

3. o ile nie będzie miał rąk, nie będzie mógł brać łapówek, ani bawić się w pokątne pisarstwo,

4. brak nóg uniemożliwi mu łażenie po knajpach.

Ta reszta, która zostanie może zupełnie spokojnie w godzinach urzędowych tkwić za biurkiem, a choćby jej tam i nie było, nikt nic na tem nie straci.

Balet Operowy.

Opera nasza ma wiele zalet!
Wszystko tam dobre, tylko nie balet,
A przedewszystkiem już „Kordebale“
Nie mogę chwalić, choć resztę chwalę.

Biusty jak deski, ręce obręcze,
A owe nogi pajęcze,
Każda tancerka — ach! chudo-nożna,
Że anatomię studyować można.

Wszystko to pcha się, gniecie zajadle
Skacze zaś, jak pchły po prześcieradle.
Tak wątłą każda jest kreatura,
Że lada chwila, złamie się która.

Więc dyrektorzy całą tę armią,
Niech przedewszystkiem trochę odkarmią
Gdy będzie syta, to w dalszym rzędzie
Już zobaczymy, jak skakać będzie!

PRZYGODA PANA MECENASA.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

Instytucya adwokatów, mecenasów, kauzyperdów, czy jak ich tam kto jeszcze inaczej nazywa, jest dla społeczeństwa z jednej strony bardzo korzystną, z drugiej daje mu się nieraz porządnie we znaki. Adwokat może zastąpić w każdej sprawie, z wyjątkiem jednej, którą nawet cesarz lub król musi załatwić osobiście, ale biada ci, gdy się dostaniesz między ich dwu. Wówczas odgrywają oni rolę nożyc, a ciebie czeka los kartki papieru.

Ten wstęp, poświęcony naszej palestrze, ma o tyle związek z naszem opowiadaniem, iż jego bohater, jeden z krakowskich mecenasów, wybrał się niedawno do Warszawy w zastępstwie swego klienta. Jako człowiek praktyczny, a takim powinien być każdy adwokat, postanowił połączyć pożyteczne z przyjemnem, to jest załatwić poruczoną sobie sprawę, a przytem i zabawić się w Syrenim grodzie, w którym dotąd nigdy nie był, ale wiele o nim słyszał i czytał. Zwłaszcza warszawianki budziły jego szczególniejsze zainteresowanie i, choć człowiek żonaty, im postanowił poświęcić specyalne studya, aby się przekonać, czy zasługują na takie pochwały, jakiemi darzy je natchniony poeta, śpiewając:

„I pragnąłbym, aby kiedyś,
Gdy opuszczę życia szranki —
Sanctus Petrus dał mi miejsce
Obok jakiej Warszawianki“.

W Warszawie przekonał się, że o mieszkanie w hotelu równie trudno, jak i w Krakowie, ale że portyerowi można przemówić do litościwego serca w ten sam sposób, jak w Krakowie, to jest, używając mniej słów, a więcej marek, znalazł zatem pokój, w którym spędził noc. Śniło mu się, że żyje w czasach biblijnych, i że prorok Elizeusz wysyła go w swojem zastępstwie do Sunemu, aby w jego imieniu przywrócił do życia syna jednej z tamtejszych niewiast. Zaopatrzywszy się w formalnie wystawione pełnomocnictwo, wybrał się w drogę, przybył szczęśliwie na miejsce i wywiązał się należycie z polecenia, co mu poszło tem łatwiej, iż jak się okazało, owa Sunemitka była młodą i przystojną, bezdzietną wdową. Prorok Elizeusz nie miał zatem powodu narzekania na swojego zastępcę, a oczywiście także i interesowana.

Sen ten uważał mecenas za dobrą wróżbę i zaraz rano wyruszył na wędrówkę po rozmaitych urzędach w sprawie swojego klienta. Doszedł przytem do przekonania, że w Warszawie co drugi osobnik, to wielki człowiek, a spotykane po drodze przedstawicielki płci nadobnej utwierdziły go w przekonaniu, że poeta bynajmniej nie przesadził.

Całe rano zeszło mu na sprawach urzędowych, nastąpił obiad wcale smaczny, ale bardzo drogi, popołudnie przeznaczył na rozglądanie się po mieście. Chodził tędy i owędy, zaglądał tu i tam, wszędzie mu się podobało, najbardziej przecież Warszawianki, które jak stwierdził, posiadają i wdzięk i szyk i temperament, jakiego nie powstydziłyby się i rodowite Paryżanki.

I jakoś tak losy złożyły się, że w jednej z kawiarń nawiązał rozmowę z samotną, dystyngowaną damą. Po kwadransie byli już dobrymi znajomymi, ona wiedziała, że przybył z Krakowa za interesami, on dowiedział się, że ma przed sobą rozwódkę z Ukrainy, którą wypadki wojenne zagnały do stolicy.

W miarę bliższego poznawania rosło też i obopólne zaufanie, nic też dziwnego, że dama zaprosiła mecenasa, aby ją odwiedził w jej mieszkaniu. Oczywiście nie odmówił i obydwoje podążyli razem w stronę jednej z pryncypalnych ulic, gdzie w eleganckim domu zajmowała dama wytwornie umeblowany apartament.

Po przybyciu przeprosiła go na chwilę i odeszła do sąsiedniego pokoju, skąd po pewnym czasie wróciła przybrana w bardzo ponętny negliżyk, uwydatniający aż nazbyt widocznie wszystkie te wdzięki, jakimi ją natura obdarzyła. A była dla niej nie macochą, lecz prawdziwą matką.

Mecenas był w siódmem niebie, rozmowa ożywiała się coraz bardziej, nastrój podnosił się coraz wyżej, osiągając kulminacyjny punkt po wniesieniu przez wygalonowego lokaja na srebrnej tacy szampana.

Co się potem stało, tego się domyśleć nie trudno... Mecenas, lubiący się bawić, ale oszczędny, trapił się myślą, iż go ta zabawa może drogo kosztować, pocieszało go jednak, że to przecież zapłaci klient, któremu w rachunku wstawi odpowiednią kwotę, jak to zwykł był czynić pod pozycyą: „Informacye“.

I gdy, po dwugodzinnym przeszło pobycie opuszczał zaciszny, a rozkoszny buduar rozwódki z kawiarni i zrobił ruch, jak gdyby chciał sięgnąć ręką po portfel, ona zrobiła przeczący ruch ręką... Rozstali się w miłej zgodzie, zapewniając się, iż się jeszcze zobaczą.

Drugi dzień pobytu w stolicy zajęło mecenasowi przed południem chodzenie po biurach,

Znaleziony pierścień.

Opowiada katecheta,
Jak w cudowny sposób nieraz
Rzecz zgubiona się znachodzi...
Kto da na to przykład teraz?

Więc wyciąga rączkę Andzia,
Malec mądry tak, jak rzadko —
Ja opowiem tu wypadek,
Jaki miał mój dobry tatko!

Miał on pierścień z dyamentem,
Który błyszczał, że aż miło!
No i raz go zgubił z palca
I nie można znaleźć było.

Mama pyta się tatusia,
O tak cenną zgubę trwożna:
„Gdzieś ostatni raz miał rękę?
Tam najpewniej szukać można!“

Tatko nie wie, nie pamięta!...
Trza przeboleć — trudna rada!...
Z znalezienia tej pamiątki
Zrezygnować mi wypada!

Lecz bez racyi były mamy
Rozpaczania i wymówki,
Gdy się bona rozbierała,
Pierścień wypadł jej — z sznurówki!...

Mądry Jaś.

Pannie Józi zdarzył się brzydki wypadek... Bocian, prawdopodobnie przez pomyłkę w adresie, zawitał do niej i obdarzył córeczką.

Rozmawiają o tem dwaj jej znajomi, ubolewając nad jej losem.

— Ha!... Trudna rada, na to nic nie poradzi... Teraz wojenne czasy, to *vis major*... — mówi jeden z nich.

Przerywa mu, słuchający tej rozmowy, brat panny Józi, mały Jaś:

— Nie, proszę pana, to był porucznik...





Ostatnie życzenia skazańców.

Dwu bandytów skazanych zostało na śmierć. Przed wykonaniem wyroku zapytano ich, jakie mają ostatnie życzenia.

— Chciałbym doczekać — rzecze jeden z nich — aż na moją „Milionówkę“ padnie wygrana.

— To będzie trudno — prezydent sądu na to — gdyż może to nastąpić w przeciągu dwudziestu lat... — a zwracając się do drugiego — A ty czego żądasz?

— A ja pragnąłbym się dowiedzieć, jak zostanie ostatecznie rozstrzygniętą sprawa górnośląska — oświadczył drugi.

— To już absolutnie wykluczone!... Ty, widzisz, nie masz wogóle ochoty kiedykolwiek umrzeć i chciałbyś żyć wiecznie.

Dawniej i dziś.

W roku 1914:

— Mój Boże, gdybym nie był za młodu nicponiem i uczył się należycie, nie potrzebowaliby się wstydzić mnie dziś moi bracia, że jestem szewcem...

W roku 1921:

— A jednak miałem rozum, że mnie do książki nie ciągło!... Dziś zazdroszczą mi moi bracia, którzy są urzędnikami i klepią biedę...

* *
*

W roku 1914:

— Powiedz pani co za nieszczęście... Taki wstyd dla rodziny! Nieśmiem ludziom spojrzeć w oczy!... Moja siostrzenica zaręczyła się z właścicielem hurtownego składu węgli... Wprawdzie to człowiek bogaty, ale ludzie nie będą jej inaczej nazywać tylko „węglarka“.

W roku 1921:

— Ach moja kochana pani, jaka jestem szczęśliwa... Mój syn żeni się z córką węglarza, który ma sklepik w tej samej kamienicy... Starał się o nią jakiś radca, ale ona wybrała mojego syna!...

Narodowe potrawy.

Każda nacya ma potrawę
Z odpowiednią jej naturą:
I tak: Węgry mają gulasz,
Polska — słynny barszczyk z rurą.

Litwa szczyci się — Kisielem
Słynie w świecie — placek saski,
Jest w Szwajcaryi czekolada,
A w Berlinie — psie kiełbaski.

Rosya ma przepyszny kawior,
Czechy — knedle z powidłami,
Austrya — sznycel po wiedeńsku
Włochy mają zaś — salami!

To salami, ta kiełbasa,
Której sława nie dziś wzrosła,
Jest produktem czysto włoskim
Robi się zaś tylko — z osła.

Kiedy do Włoch się wybierał
Pan redaktor od „Kuryerka“
To przyjaciół jego tknęło
Złe przeczucie i rozterka.

Mówił mu Mecenas Kazio:
„Byś nie doznał czasem szwanku!
„Bo tam z osłów kiszki robią,
„Nie jedź do Włoch mój Maryanku!

„Czy ty myślisz, że we Włoszech
„Nie poznają cię ktoś taki?
„I czem będziesz się nadymał,
„Gdy ci wyrwą z brzucha flaki?!

A on dzielny!... On pojechał,
On — powrócił z włoskiej strony,
I nietylko flaki przywiózł,
Ale także... felietony!..



po południu wybrał się do Łazienek, a gdy stamtąd powrócił, przyszło mu na myśl, czy nie wypadałoby odwiedzić swą wczorajszą znajomość, by jej raz jeszcze podziękować za tak serdeczne i gościnne przyjęcie, jakiego doznał z jej strony. Udał się zatem w tym kierunku, gdzie mieszkała i trafił, tak mu się przynajmniej wydawało, na właściwy dom. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy się przekonał, że całe pierwsze piętro zajmują biura Towarzystwa akcyjnego wytworu filmów kinematograficznych pod firmą „Prześcieradło“. Sądził, że się pomylił o piętro, szukał zatem na drugiem, ale i tu dowiedział się, że obywatelki z Ukrainy w całym domu nikt nie zna. To samo potwierdził i stróż. Nie ulegało zatem kwestyi, że wczoraj znajdował się pod wpływem jej uroku, a potem szampana, wobec czego nie zapamiętał dobrze właściwego jej adresu.

Zrezygnowawszy z dalszych poszukiwań, udał się na kolacyę, którą spożył w towarzystwie grona znajomych, a potem wraz z nimi do kabaretu, co pozwoliło mu zapomnieć o zawodzie, jaki go spotkał.

I trzeci dzień niewiele się różnił od dwu poprzednich. Dziś jednak sprzyjało mu widocznie szczęście, w samo bowiem południe spotkał na ulicy Marszałkowskiej swą znajomą. Powitali się bardzo serdecznie, on z całem wylaniem, ona z pewną rezerwą i jak gdyby nieco zakłopotana, co jej jednak nie przeszkodziło w przyjęciu zaproszenia na obiad, który wspólnie spożyli w restauracyi *Savoy*. Po obiodzie wstąpili jeszcze do cukierni, a gdy po wyjściu stamtąd zapytał mecenas, czy może jej dalej towarzyszyć, zgodziła się, choć widocznem było, że jej ta propozycya w smak nie poszła.

— Ale ja idę do domu... — rzekła.

— Tem lepiej... Chyba pani nie ma nic przeciw temu, jeśli ją odprowadzę...

— Skoro taka wola...

I poszli dalej, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Mecenas był ogromnie zdziwiony, że kierują się w ustronną dzielnicę miasta, a zdziwienie jego nie miało już wprost granic, gdy się znalazł przed niepokaźnym, jednopiętrowym domem przy bardzo podejrzanie wyglądającej ulicy. Ona weszła do środka, on postępował za nią i za chwilę znalazł się w skromnym, ale schludnie umeblowanym pokoiku, zupełnie nie przypominającym apartamentów z dnia przedwczorajszego. Ciekawość go paliła, nie śmiał przecież zapytać o przyczynę... Bóg raczy wiedzieć, jaka się w tem kryła tajemnica, której poruszenie mogło jej sprawić przykrość, a tego nie chciał.

Na tok zabawy skrupuły te nie wpłynęły, ani się spostrzegł, że się zciemnia i że trzeba wracać, gdyż na ten wieczór miał zamówiony teatr.

Pożegnanie zatem krótkie, lecz serdeczne, ale już bez owego gestu w stronę portfelu...

I trzeba było być na miejscu i widzieć, jakie oczy zrobił mecenas, gdy rzuciła mu pytanie:

— To tak odchodzisz kotku, bez pożegnania?

Zbaraniał i wyjąkał:

— Przecież cię pocałowałem...

— Dobry sobie!... Myśli, że ja żyć będę z pocałunków, gdy wszystko takie drogie...,

— Przedwczoraj, gdy sięgałem po portfel, sama dałaś poznać, że sobie nie życzysz...

— Tak!... Ale przedwczoraj a dziś, to zupełnie co innego!... Przedwczoraj, to było zdjęcie do kina i za to zapłaciło mi Towarzystwo, bo ja, trzeba ci wiedzieć, jestem także artystką kinematograficzną i pozuję w takich rolach...

— Do kina? — zapytał, nie rozumiejąc w pierwszej chwili o co chodzi.

— No tak!... Gdy się zabawialiśmy, zdjęto nas obydwoje do filmu: „Przyjemności Warszawy“...

W mecenasa, jak gdyby grom uderzył.

— Więc nie jesteś rozwódką z Ukrainy? — pytał.

— Ani mi się śni!... Jestem Warszawianką z krwi i kości...

Mecenas stracił najzupełniej dotychczasową fantazyę. Odtąd w dzień i w nocy zatruwa mu każdą chwilę myśl, co to będzie, gdy się na widok publiczny pojawi film z jego podobizną i co powie żona, gdy to dojdzie do jej wiadomości.





— Jakto? pani mnie nie zna? Proszę sobie przypomnieć!... Wtedy, wtedy ...

— Acha! już wiem!... niech się pan rozbierze!



Tam pod płotem w trawie pachnie
Poprzysięgał panic Kachnie,
Tam pod płotem — straśne rzecy,
Panic poszedł, dziewka becy!



— Jaka jest twoja specyalność mistrzu?

— Portrety dorosłych!.. Dawniej robiłem dzieci!



— Jakie jest twoje zadanie o krakowskiej operze?

— Zaczęli „Hrabiną“, a skończą na „Dziadach“.



— Zajmę się twym losem Maryniu. Ty nie będziesz całe życie pokojówką!

— O, ja wiem, że u pana zawansuję wkrótce na mamkę!



Platoniczny kochanek

— I cóż mi po twojej miłości, Alfredzie, skoro ty objawiasz ją tylko ustami!



— Dziś jestem zajęta przez cały dzień.

— Dobrze! więc przyjdę w nocy!



— Idź precz odemnie! Mój mąż cię całował.

— On panią całuje także, a ja nie mam nic przeciwko temu!

Ferdek Eleuteryk.



I tak skuńczyło się lato, a z niem i majowe przyjimności, Mańka wróciła z konpielów całkiem wyprano i woło gwałtu o hopy na zao patrzynie sie na zimę w różne jenteresy, bez których dawnij nimogliśmy sie obejńść, a teraz jesteśmy widzoncy, że choć sie ich jest nie majoncy, możno być aż do samyj śmirci żyjoncy. Pewnie, że przyimnij jest siońść se z brzanom przy ciepłym piecu i zacząć pogwarkę, ale skond tu dziś zebrać tyle marek, aby kupić choć cytnar murzynów?... O brzane nie tak trudno, zawdy znajdzie sie, ale i jej jakoś jest niemrawo, gdy w zimnym pokoju trzo ściongać z przeproszyniem... łapowiczki. Gwarzy wprawdzie jeden fizyk, a kużdy fizyk jest mondry, nawet krajsfizyk, że ruch wytworzo ciepło, ale aby sie ostro ruchać trzo mić siły, a aby je mieć, trza se klawo pofrygać i fest cycnonć, ale nie w mijskij głodnyj kuchni, gdzie dajom czasem takie specyoły, które potym nie wiedzom, któryndy mają być z człeka wyłażonce. Niedawno jedna bezdzietna brzana, Zośka jíj na imie, obuchała sie tam jakimś fiśtoklonem i tak ją sparło, że była w strachu czy sie nie jest w stanie poważnym znajdujonca, a wiadomo, że teroz czerwonki, tyfusy i inne cholery są sie na porzondku dziennym znajdujonce i uczciwego człeka trapionce, a panu fizykowi spać nie dajonce.

Ale to wszystko nic w porównaniu z wiecznościami, kiszonymi ogórcami i tem, że zima już za pasem, a ubr nie na człeku, czyli tak zwane okryjbida, jest wprawdzie bardzo chgieniczne, bo w różnych okolicach, na łokciach, kolanach, widermachu, wentelatory majonca, wienc na jesiennom i zimowom pore, kiedy wiatr wieje na człeka, stanowczo sie nie nadajonca. A jak tu kupić sobie coś cieplijszygo, gdy dziś za najgorszejszom szmate na tandycie trza bulić tysionce marek. Nie wystarczy człekowi na to, aby se z fundził choćby dziurke od guzika, o guziku nie mówioncy, bo to dziś kapitał.

Z adachami taki som kłopot. W zolach porobiły sie fistuły, a szpadała żondo za naprawe trzy tysionce morek, obiecujoncy, że jak dobrze póńdzie, bedom fertig akurat za rok o tym czasie.

Nawet na takom frajde, jak spuszczynie wiórów z makówy nie może se być człek pozwalajoncy, bo golibroda jest za takom reperacye sto marek żondajoncy, jako iż jest sie za należoncygo do lekarskiego fachu uważajoncy. A nie kużdygo stać na to. Szczyńśliwi som łysi, ale i im grozi niebezpieczeństwo gdyż golibrody som żondajonce, aby łysiny zostały na ich korzyść opodatkowane.

Cinżko zatym żyć żeniatym, ale nie łżyj i kawalirowi. W dawnijszych czasach kużdy binios wybirał se kilka brzan (ale tak, aby jedna o drugiej nie była wiedzonco), palił się do nich i miał wyżyre zapewnionom, a czasem jeszcze udało się którygo tate na kika parenaście fajgli a konto posagu być naciongajoncym. Teroz nici z tygo, kole brzanów krynczom sie ino milionery, a kto chce któróm złapać musi jeszcze tacie fuudować, bo teroz możno być w konkurentach niczym w ulengałkach wybirajoncy. Mnij ich, co prawda ale som zato lepiej stojoncy.

Przed wojnom, gdy se facet upatrzył brzane, a tata i mama byli na niego krzywym okiem patrzoncy, postarał się o to, aby się znalazła w takim stanie, że z żyniaczkom trza się spieszyć, bo wtedy ino bezdzietne panny mogły liczyć na powodzenie. Dzisiaj i to nie pomogo i, choć sie człeku namęczyłeś, gdy prosisz o jej grabe, a jesteś, z przeproszyniem, gołogłowiec, dowisz się, że figa z tygo, bo to obewatelska córka, to jom i tak weźmie i to taki, co mo hopy, a nie ich szukajoncy.

Wykopyrtnon sie wienc świat i jeżeli ludzie jeszcze nie knają do góry cybuchami, to ino dla przyzwoitości, na której stróży stojom starszejsze brzany, którym sie płócienno garderoba bez czas wojny podarła. Dawnij, gdyś miał fajgla w dolinie, mógeśse na galanty cyc nawet u Hawyłki być pozwalajoncy, a dziś choćbyś wzion ze sobom i tysionc marek, ani se poisz, ani popijesz i skroś tygo jest sie pracujoncy mindzynaród furt o podwyższynie zarobku ubiegajoncy. Jeżyli tak dalij póńdzi , możno bedzie żyć ino wtedy, jeżeli sie bedzie mieć milion marek rocznygo dochodu, choć i z tym w obecnych weronkach nie możno bardzo wirzgać.

Zdrowy ojciec.

Panna Mania, bardzo elegancka, przystojna i szykowna, miała wielbicieli bez liku, nie mogła się jednak jakoś na wybór dozgonnego towarzysza. Ogólne zadziwienie wywołała zatem wiadomość, spadła niczem piorun z jasnego nieba, że panna Mania wychodzi zamąż i to za człowieka w dość już poważnym wieku. Przyczyna tej nagłej decyzyi stała się jasną, gdy w pięć miesięcy po ślubie, powiła pani Mania zdrowego synka.

Małżonek nie posiadał się z radości, ale ten nadzwyczajny pośpiech trochę mu się nie podobał, choć mu tłumaczono, że się to zdarza, jeśli rodzice są zdrowi. Aby się upewnić udał się do jednego z naszych wybitnych lekarzy położników. Zastał go zajętego ważną pracą.

— Czem panu mogę służyć? — zapytał lekarz.

— Ja tu, panie profesorze, przyszedłem w sprawie mojej żony...

— Cóż jej brakuje? Proszę zostawić adres, to ją odwiedzę...

— Jej, panie profesorze dobrodzieju nie brakuje nic, ale ja...

— Jeśli pan jest słaby, musi się pan zwrócić do kogo innego... Ja zajmuję się jedynie słabościami kobiecemi...

— Ależ ja jestem zdrów... Chciałem tylko, zapytać pana profesora.

— Mój panie!... Na odpowiadanie na pytania nie mam czasu. Sam pan widzi, jaki jestem zajęty...

— Pan profesor daruje, ale ja chciałbym się koniecznie dowiedzieć...

— Cóż takiego?...

— W którym miesiącu najwcześniej może przyjść na świat normalnie rozwinięte dziecko?

— W siódmym, panie łaskawy!

I pewny, że się pozbył natręta zabiera się do pracy, ten jednak nie rusza się z miejsca, po chwili zaś pyta:

— A w szóstym, panie profesorze dobrodzieju?

— Może, może! - odpowiada profesor już widocznie z niecierpliwiony — ale rodzice muszą być zdrowi...

Interpelant ukłonił się pięknie, ale i teraz nie okazywał ochoty do wyjścia, co profesorowi nasunęło na myśl, że ma do czynienia z człowiekiem, umysłowo niezupełnie normalnym.

— Na cóż pan jeszcze czeka? — zapytał.

— Ja, panie profesorze dobrodzieju, chciałem się jeszcze zapytać, a jeśli dziecko przyjdzie na świat w pięć miesięcy po ślubie?...

— Zdarza się także! To dowód, że ojciec był bardzo zdrowy tak fizycznie, jak i umysłowo...

— Dziękuję panu profesorowi!... Mnie zawsze mówiono, a teraz to już w to nie wątpię, słysząc te słowa z ust pana profesora... Moja żona w pięć miesięcy po ślubie powiła syna...

— Niech się pan pocieszy!... Coś podobnego zdarza się tylko przy pierwszem dziecku, następne przyjdą na świat w normalnym czasie.

Dziwny skutek.

Wieśniak znalazł znalazł na drodze baryłkę, wypełnioną czemś podobnem do mazi. Widocznie spadła ona z wozu, drogą tą przejeżdżało ich bowiem wiele w stronę sąsiedniego miasta.

Pewny, że to smarowidło do kół, wysmarował niem w porządku osie wozu, ale jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz rano, gdy wyjechać w pole, ujrzał, że dyszel, który zwykle opierał się o ziemię, sterczy prawie prostopadle do góry i ani rusz go przygiąć.

Zachodził w głowę, co mogło być przyczyną, nie przypuszczał bowiem, że mogą to być skutki tego smarowidła, którego, jako tanio nabytego, gdyż znalezionego, nie żałował, a nie wiedział, iż to nie maź wozowa, lecz... kawior.

Ptasia logika.

Z lśniącą flintą na ramieniu
Szedł raz borem strzelec młody,
A w tym lesie śpi dziewczyna,
Przy niej dzbanek na jagody.

Miała usta jak maliny,
Których stał tam dzbanek cały
I maliny dwie różowe
Przez koszulę przezierały.

Białe łydki apetycznie
Rysowały się na trawce;
Mile to wzruszało strzelca,
Tak wielkiego, jak on znawcę!

Więc na drzewie strzelbę wiesza,
Rzuca torbę, gdzie miał kule
I klęknąwszy przy dziewczynie,
Tak jej w ucho szepce czule:

— Nie się nie bój, moja Maryś!
Ja cię — panicz z dworu — budzę!
A dziewczyna przestraszona
Mimowoli krzykła: „pódze“!

Bo sądziła, że zbój jaki,
A po lesie chodzą zbóje —
A to panicz, panicz ładny!..
Panicz przecie jej nie uje!

I gdy w błogiem zapomnieniu
Pili młodzi czar miłosny —
Głuszec ze swą połowicą
Obserwował ich ze sosny.

— Ludzkie gniazdo! — rzekł zdumiony
Co za osobliwa para!
Ach! jak oni się kochają,
Patrz-no tylko moja stara!...

Nie! dali-Bóg! patrzcież państwo!
To są ludzkie gniazda w lesie!
Czy on potem ją zastrzeli,
Kiedy mu już jaja zniesie?

— Jaki z ciebie ptak jest głupi! —
Perswaduje głuszca żona.
Z czegóż strzeli? Torba próżna
I w dół lufa jest spuszczona!...

Patrzajno! — za chwilę mówi
I po łbie się z smutkiem skrobie,
Patrzajno, jak on ją kocha —
I bierz z niego przykład sobie!..

Fraszka! — burknął głuszec na to,
Pieciesz, lecz co? — sama nie wie!..
Ciekaw jestem, czemu oni
Nie kochają się na drzewie?

— To pytanie! — drwiła żona
I frunęła sobie dalej.
— Przy gwałtownej ich miłości
Wszakby drzewa połamali!...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Zdarzyło się raz Herkulesowi, który podobno silniejszym był od Dempsey'a, iż znalazł się w krytycznem położeniu, nie bez wyjścia, ale owszem z dwoma wyjściami, to jest mając przed sobą dwie drogi i nie wiedząc, którą z nich obrać. Zato dostał się do historyi.

Mnie w ubiegłym tygodniu przytrafiło się jeszcze gorzej i dlatego sam siebie wpakować muszę do „Bociana". Zapowiedziałem, że wybieram się na pogrzeb króla Piotra do Belgradu, tymczasem pokazało się, że przedemną stoją otworem trzy drogi, Belgrad, Wołyń, gdzie najjaśniejszy książę na Lubiczu *serenissimus Casimirus* Lubecki odprawiał swe gody małżeńskie i Kraków, w którym odbyło się inauguracyjne przedstawienie stałej opery. Z dwojga złego wybrać mniejsze lub większe to stosunkowo łatwo, a i tak Herkules nad tem się dość napocił, z trójga natomiast daleko trudniej. Zatem poszedłszy po rozum do głowy, nie pojechałem ani do Belgradu, gdyż zbyteczne wzruszenie, a bez niego nie obeszło by się tam, szkodzi memu zdrowiu, ani na Wołyń, gdyż książę pan zapomniał mnie zaprosić, ani też do Krakowa, gdzie się bezemnie obeszło. Wybrałem się natomiast w kierunku zupełnie przeciwnym, mianowicie do Ameryki, a stamtąd jeszcze dalej.

Dziś mogę się już przyznać, że właściwym celem mojej podróży były Indye, drogę na Amerykę obrałem zaś tylko dlatego, aby zamydlić oczy Lloyd'owi George'owi gdyż była to podróż polityczna, a on śledzi mnie stale przez swych wysłanników. Zapowiedziałem zatem głośno w kołach znajomych, że jadę do Ameryki na zaproszenie prezydenta Hardinga, aby tam upolować kilkadziesiąt wiewiórek, które mi są potrzebne na futro dla pięknej Naga-Ko, musiałem bowiem dać słowo księciu Hirohito, że będę na jego weselu, a trudno się tam bez prezentu ślubnego pokazać.

Książę Hirohito prosił mnie bym przybył niezawodnie, by mu w tak ważnej chwili życiowej udzielić potrzebnych wskazówek, do czego najlepiej się nadaje taki stary praktyk, jak ja.

Pierwszym etapem mojej podróży była zatem Ameryka, w szczególności zaś Peecktonville, gdzie bawi na letnich wywczasach prezydent Harding wraz z Edisonem i innymi przyjaciółmi. Ogromnie się ucieszył gdy mnie zobaczył, przyjazdu bowiem nie zapowiadałem i była to dlań niespodzianka.

— A toś mi zrobił prawdziwą frajdę!... — mówił Harding, ściskając mnie serdecznie. — Daleko większą, niż mój stary, starając się, bym miał znowu mamę. Dobrze zrobiłeś żeś przyjechał!... byłem pewny, że jako krakowski demokrata krzywem okiem patrzysz na nas republikanów.

— Bardzo przepraszam — ja mu na to — ale ja zawsze byłem republikaninem. Proszę zapytać się o to Maryanka Dąbrowskiego z „Kuryerka", który teraz objeżdża Europę, a zapewne zawadzi i o Amerykę. Inna rzecz, że w naszym towarzystwie mieliśmy samych członków honorowych, to jest takich, którzy na posiedzenia nie przychodzili, a o naszem istnieniu świadczył jedynie szyld, ten jednak w zimie z powodu braku węgli porąbano i spalono. Ale republikaninem byłem, jestem i będę zawsze. I to mnie właśnie tutaj sprowadza, gdyż stąd jadę prosto do Indyi, aby tam wywołać ruch republikański przeciw Anglii. Zadarł ze mną Lloyd George, niech zatem wie czem to pachnie...

— Pachnie? Bardzo panów przepraszam, ale to nie moja wina — przerwał Edison, który dotąd opoczywał na trawniku. Od czasu wybuchu wojny ciągle mam do czynienia z gazami trującymi, a dzisiaj zjadłem na śniadanie coś ciężkiego. Z tego też powodu urządzam popołudniową zawsze *sub Jove*, o ile tylko pogoda na to pozwoli. Skądże się pan tu wziął, panie Klapa?

— Jadę do Indyi...

— Z Krakowa do Indyi przez Amerykę?

— Tak!... Aby zmylić drogę!... Chodzi mi o to, aby Lloyd George nie dowiedział się, dokąd się udałem, gdyż trzeba kochanemu panu wiedzieć, jadę do Indyi po to, by tam wywołać powstanie. Lloyd George ma już jednego czyraka na policzku prawym i to mu utrudnia siedzenie, ja się postaram, aby mu drugi wyrósł na lewym, a wtedy nie mogąc ani chodzić ani stać, może się powiesić... Pan mnie rozumie?...

— Doskonale!... A co tam nowego u was w Krakowie słychać?... Cóż tam porabia mój kolega zawodowy, fizyk Janiszewski?... Czy znalazł już mieszkanie?

— O, już dawno!... U nas nic nowego, bieda, aż trzeszczy, a do tego pękła rura wodociągowa i niema co pić...

— To źle!... — a zwracając się w dalszym ciągu do Hardinga, zapytał — I cóż tam wyczytałeś w „Kuryerku?

Teraz dopiero zauważyłem, że prezydent Harding, w chwili, gdym przybył, zatopiony był właśnie w lekturze naszego krakowskiego republikańskiego organu.

Serce mi rosło na ten widok!...

Prezydent Harding urządza się na willegiaturze bardzo praktycznie i pędzi ją prawdziwie „po sielsku anielsku". Chodzi bez krawatki, ale to podobno teraz taka moda dla prezydentów, a nawet i bez surduta. Mieszka w szałasie, który mu wybudował Ford, a rozmaite funk cye życiowe załatwia w krzakach, co w Ameryce należy do zwyczaju, w ten sposób bowiem poprawia się urodzajność gleby. A każdy Amerykanin to praktyczny człowiek, który nawet przyjemność stara się połączyć z pożytkiem. Aby mieć prawdziwe wakacye, żonę swą zostawił oczywiście w Waszyngtonie, ale zabrał ze sobą maszynę do pisania, która, jak sam stwierdziłem, jest młoda i przystojna.

Kilka dni, jakie spędziłem w Peectonville, przeszły mi bardzo wesoło i swobodnie, chodziłem bez surduta, ale ani jednej wiewiórki nie upolowałem, kupiłem sobie natomiast małpę, gdyż Edison miał flachę whisky, którą we dwóch wypróżniliśmy sumiennie do dna, usunąwszy się na bok, aby nie dawać złego przykładu, w Ameryce bowiem obowiązuje rozporządzenie, nakazujące absolutną abstynencyę. Edison wystarał się o pozwolenie w magistracie, gdyż alkohol jest mu potrzebny do doświadczeń naukowych.

Fotografowaliśmy się wspólnie, a fotografia ta była także w *Nowościach Illustrowanych*. Jestem i ja na niej, ale mnie nie widać, gdyż właśnie wtedy musiałem odejść w krzaki, aby się przekonać, czy tam niema przypadkiem jakiej wiewiórki, a tymczasem fotograf złapał na płytę tamtych, którzy zostali, gdyż im wiewiórki nie chodziły po głowie. Rzecz oczywista, że rozmawialiśmy wiele o polityce. Hardingowi spodobał się ogromnie mój projekt zalania gorącego sadła Lloydowi George przez wywołanie powstania w Indyach i przyrzekł mi paparcie, jak również obiecał odesłać mnie do Indyi, zwłaszcza, że nadarzała się okazya, gdyż wysłano tam pancernik amerykański. Uważałem, że prezydent bardzo jest z tego zadowolony, że się mnie pozbędzie, gdyż nie podobałem mu się, iż się zanadto kręcę koło jego maszyny do pisania, chcąc zbadać jej system, a on pragnąłby tylko sam jeden pisać na niej. I ma racyę: żony, strzelby, psa do polowania i maszyny do pisania nie powinno się oddawać w obce ręce, gdyż łatwo mogą uledz zepsuciu. Jako dobrze wychowany człowiek, nie dał mi tego wyraźnie do poznania, czułem przecież, iż stufuntowy kamień spadł mu z serca, gdym się z nimi żegnał, najczulej oczywiście z maszyną, obiecując sobie, że w najbliższym czasie zaopatrzę się w taki sam system.

O ile mi zatem nie stanie nic na przeszkodzie, prosto stąd jadę do Indyi, a po rozpaleniu tam ognia wybieram się do Japonii, gdyż tymczasem wrócił już z swej podróży książę Hirohito, a ja mam być jednym z tych, którzy wedle staropajońskiego zwyczaju, odprowadzą młodą parę do małżeńskiej sypialni.

Czy mi jednak nie pokieraszą się plany, tego nie wiem, ale to wiem, że mój przeklęty pech towarzyszy mi stale i nie opuścił mnie nawet w Ameryce.

Zatem... shake haand!

Klapa.

Z wykładu historyi.

— Historya wspomina o patryotyźmie kobiet kartagińskich, które, gdy ojczyzna była w niebezpieczeństwie, obcinały swe warkocze, aby z włosów ich robić cięciwy do łuków... Czyn to piękny i wzniosły!... Ale i nasze kobiety nie potrzebują się wstydzić, gdyż nie pozostały w tyle. Podczas wojny światowej widzieliśmy wiele z nich jak na potrzeby ojczyzny oddawały chętnie swoje własne piersi z okazyi zbiórki gumy na cele armii...

„O" — „W J.".

Otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcya.

Czytając kochanego „B o ć k a" zastanawiałem się dość długo i w końcu do niczego nie doprowadziły moje zastanawiania, przeto zwracam się z prośbą (jeżeli nie będzie to „B o ć k o w i" sprawiać trudności, a w dodatku nie chcąc się pozbyć tak gorliwego czytelnika tegoż) o wyjaśnienie mi urywka z tytułu „Hof-und-Personal Nachriten" — Redaktor naczelny „Kuryerka" po powrocie z urlopu objęmie „baby" z „O" na „W. J.".

Rozwiązanie tej zagadki proszę przysłać pod adresem: L. Fr. Aleksandrów Kujawski.

Podobnych zapytań skierowano już kilkaset do naszej Redakcyi.

Pomiędzy innymi jeden z czcigodnych kierowników „Odrodzenia" pan L zapytywał nas, czy pod tajemniczą literą „O", nie należy rozumieć bab z „Odrodzenia"?

Nie! szanowny Dyrektorze! Przedewszystkiem u Was nie ma bab, tylko panienki, a te nie pozwoliłyby się lada komu obejmować.

„O" „W. J", zostaje więc zagadką i jako taką postanowiliśmy ją traktować.

Kto zaś z Sz. Czytelników pierwszy przysłe trafne rozwiązanie będzie jako nagrodę otrzymywał zupełnie darmo „Bociana", aż do końca b. roku. *Wydawnictwo „Bociana".*

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. St. Kowalskiego.



— Panie! w tej Kasie nic niema!...
— Tak!... i dlatego chciałem złożyć w niej pewną sumkę dla pani!